

# MŁODY MEDYK

MIESIĘCZNIK STUDENTÓW UMB



# Ogłoszenia drobne

Jakiś czas temu na placu pod Pałacem Branickich wydarzył się skandal. Nieznani sowizdrzałowie odwrócili do góry nogami tabliczkę informacyjną z napisem PROREKTOR DS. NAUKI I ROZWOJU. Osobiście odczytuję to jako słuszny, choć cokolwiek desperacki komentarz: nie mamy przecież już takiego stanowiska prorektorskiego, jak głosi tabliczka, a zamiast tego dwa osobne – NAUKI (i Ewaluacji) oraz ROZWOJU (i Współpracy z Otoczeniem Gospodarczym). Rzecz jasna można było to po prostu powiedzieć stosownym pracownikom UMB, lecz czyny jak zwykle wygrały ze słowami. Gest oceniam jako całkiem zabawny – ale naprawdę nie sięgajcie po takie, dopóki rzeczywiście nie zawiedzie dyplomacja!

Chcielibyśmy podziękować pewnej niezwykle odważnej dziewczynie, która z narażeniem życia walczy o dostępność do tajnych materiałów naukowych. Cicha bohaterka z refleksem żbika dokumentuje wiedzę tajemną i hojnie dzieli się nią z towarzyszami niedoli. Dziękujemy ci za twoją służbę, wszak największy ból studenta to mus otworzenia podręcznika.

Jeśli kochacie języki i zastanawiacie się, co robicie na uniwerku medycznym, to spieszę z pocieszeniem. Te dwa aspekty wcale nie muszą się wykluczać! Można np. zachwycać się osobliwymi terminami medycznymi. Wiecie, że buraki w moczu to BEETURIA? Trochę za głośno zachwyciłam się tym określeniem na zajęciach i cała grupa dziwnie się na mnie popatrzyła. Jeśli macie podobne doświadczenia, to nie przejmujcie się - inne humanistyczne dusze są wśród was!

Dziękuję Panu Doktorowi za okazane miłosierdzie i przepuszczenie mnie z trójką z dermy. Co prawda, tróję mam, ale ptsd zostanie ze mną na zawsze.

Ostatnio byłam świadkinią cudownej dyskusji na wysokim poziomie. Przedmiotem debaty była ceniona publikacja „Najważniejszy artykuł w historii Młodego Medyka” (P. Walicki, J. Sins; Nr 8 (200) grudzień 2023; ISSN 1643-3734), której celem było rozstrzygnięcie odwiecznego sporu: kisiel czy galaretka? Powrócono do kwestii pozornie wyjaśnionej w tekście, czyli budynku. I właśnie wtedy padło znamienne zdanie: „budyń to nadkisiel, bo z mlekiem, a głupie jelita bez laktazy dupa cicho”. Kurtyna.

„Na tym świecie pewne są tylko śmierć i podatki”. Nieprawda. Jeszcze to, że jak raz nie pojawisz się na wykładzie z przedmiotu, na którym byłeś zawsze, to zostanie sprawdzona lista obecności.

Kiedy nefrologia wejdzie za mocno: kolega miał mnie odwiedzić do domu i nagle wyciągnął butelkę z niebieskim płynem i zaczął pić. Ja: „Czy to płyn do chłodziń?”. On: „Wyluzuj, to pepsi edycja limitowana”. Kurtyna.

Serdecznie pozdrawiam uczestnika Speed Datingu, który powiedział do mnie „cukiereczku”. Rozmowy nie kontynuowaliśmy dalej, bo poszłam jeść. Cukiereczki.

Wiadomość do myszeczki: jeżeli to czytasz, to chcę Ci podziękować, że wspierasz mnie każdego dnia i znosisz moje humorki, mimo że ostatnio jest ciężko.

Pozdrawiam współmieszkańca DS2, który chciał dokonać (chyba niezbyt świadomie, ale jednak...) aktu spalenia tegoż budynku. Rozumiem cel tej instalacji artystycznej, jednak chciałbym zauważyć, że budynek ten całkiem dobrze pełni swoją funkcję mieszkalną dla innych studentów i fajnie by było, gdyby jeszcze trochę ją popełnił.

## Kochani Czytelnicy!

Luty to miesiąc przejścia. Zaczynając od wahań temperatury (-11 do +8), przez wydłużający się dzień i krótszą noc, skończywszy na przejściu semestru zimowego w letni. Miesiąc zmian. I zdecydowanie miesiąc sesji. Zawsze lubiłam luty, nie wiem jak Wy. Może dlatego, że w powietrzu pojawiają się już subtelne nuty wiosny, które wyczuwam nawet ja ze swoim słabo wykształconym zmysłem powonienia (co, nie ukrywam, ratuje mnie np. na bloku operacyjnym). Sesja zimowa jest, jak dla mnie, o wiele mniej stresująca niż ta letnia (może dlatego, że w razie niezdania, nie ma się perspektywy kampanii wrześniowej). To dla mnie również miesiąc długich spacerów i cieszenia się, pojawiającymi się nieśmiało, promieniami słońca. A razem z dłuższym dniem, pojawia się trochę więcej energii. Do życia, do działania. Napisałabym, że więcej entuzjazmu do studiowania, ale nie będę Was tu oszukiwać. Wróciłam po długiej, ponad miesięcznej przerwie bezbłocza na zajęcia. Cieszyłam się na ten pierwszy dzień ćwiczeń, bo wiecie, już mi brakowało trochę szpitala. Mojego entuzjazmu starczyło aż na dwa dni (wiedziałam, że tak będzie). Cóż, dobre i to. Po międzysemestralnej przerwie, wracamy również my z nowym medykiem. Co w nim znajdziecie? Oczywiście kolumny stałe: „Kącik filmowy”, „Dział (zło)wieszczy”, „Egzosfera”, „Knur w kitlu” i „Casual Curiosities”. Trochę wiosennego romantyzmu w tekście „Młoda dorosła - Szczęście”. Historię inspirującej pionierki medycyny - Elizabeth Blackwell. I wiele innych wspaniałych, dotykających serce tekstów i wierszy. Usiądźcie wygodnie, odetchnijcie głęboko (i ze spokojem, bo mam nadzieję, że sesja już za Wami) i wyruszcie razem z nami w podróż pełną słów.

Ściskam Was jak zawsze ciepło,

*Róża Maria Huszcza*

## Spis treści

- 4-5** EWELINA TRUSZKOWSKA  
**How to become an early bird?**
- 6** MAGDALENA ZIEMKIEWICZ  
**Młoda dorosła - Szczęście**
- 7** KNUR W KITLU  
**Nie pieprz, wieprzu**
- 8** JULIA MAJEWSKA  
**Żyjesz pierwszy raz**
- 8-9** MATEUSZ MALINOWSKI  
**Elizabeth Blackwell - Pionierka medycyny i emancypacji kobiet**
- 10-11** RÓŻA MARIA HUSZCZA  
**Wentyl bezpieczeństwa**
- 11** KATARZYNA MARKOWSKA  
**Ciężko, coraz ciężiej - podsumowanie pierwszego semestru na lekarskim**
- 12-13** ALEKSANDRA RENIK  
**Kinowe podsumowanie stycznia**

Autorką okładki jest Zuza Borowska.

### SKŁAD REDAKCJI MŁODEGO MEDYKA:

**Redaktor naczelny:** Róża Maria Huszcza

**Zastępca:** Natalia Olszewska

**Sekretarz:** Wiktoria Żakowicz

**Dyrektor Korekty:** Natalia Olszewska

**Zespół Social Media:** Wiktoria Żakowicz

**Redaktorzy:** Natalia Olszewska, Wiktoria Żakowicz, Paweł Ciura, Miłosz Barańczuk, Piotr Walicki, Miłosz Nesterowicz, Maja Talacha, Tomasz Kredowski, Otton Czajkowski, Julia Majewska, Kinga Grzelińska, Weronika Makowska, Aleksandra Renik, Agnieszka Woźnialis, Ewelina Truszkowska, Zuzanna Borowska, Bartosz Tyszkiewicz, Katarzyna Markowska, Mateusz Malinowski, Jan Kowalski, Magdalena Ziemkiewicz, Katarzyna Stańko, Eliza Szymańska, Hanna Krafzik, Julia Młyńczak.

**Korekta:** Magdalena Burel, Natalia Olszewska, Wiktoria Żakowicz, Maria Obrycka, Paweł Ciura, Maja Talacha, Miłosz Barańczuk, Julia Młyńczak, Gabriela Góra, Katarzyna Markowska, Jan Kowalski, Bartosz Tyszkiewicz.

**Skład i druk:** TOP DRUK, ul. Nowogrodzka 151A, 18-400 Łomża

**Siedziba Główna Redakcji:** Dom Studenta Nr 1, ul. Akademicka 3, 15-267 Białystok

mlodymedyk.redakcja@gmail.com

We all love the conditions in our beds where, wrapped in a warm blanket, we forget about the reality around us and our mind drifts into a completely different universe. Unfortunately, this moment is almost always interrupted by the sound of an alarm destroying our peaceful world... And that's when the problem arises. We want so much to stay in that utopian land called our bed, that getting up becomes incredibly difficult, let alone waking up right after the first alarm. It seems impossible, but it would greatly improve our morning routine. How many times have you said "Tomorrow, I'll wake up early, even on the first alarm"? This is your sign to give yourself another chance and make the snooze button less tempting! In this article I am going to show you some tips, which you can use while fighting with the alarm clock!

Firstly, realise that lying in bed in the morning is a complete waste of time. It doesn't help you relax and it only makes you feel more stressed about still being in bed. Every morning, if you find yourself in this situation, remind yourself that staying like this won't do you any good.

While searching the internet I came across a very interesting method for getting up on the first alarm. There was a man who struggled to wake up without using the snooze option. He tried to find a way to fix this problem. Finally, he discovered a really intriguing method. During the day, he created an environment suitable for going to sleep. He would close the curtains and lie down. Then he would set the alarm for 2 minutes, pretend to doze off during that time and as soon as the alarm went off he would turn it off and immediately get up. The man repeated this process several times throughout the day. After a while, he no longer had trouble getting up in the morning on the first alarm. He had trained his brain to recognise the sound of the alarm as the sign to get up immediately. Have you heard about this method? It might sound funny but I'm definitely going to give it a try!

## How to become an early bird?

A key habit, that helps me wake up feeling more refreshed in the morning, is avoiding my phone before bed. Start by putting it away 15 minutes before sleep, then gradually extend that time to 30 minutes and beyond. During this time, you can read a book, solve crossword puzzles or even plan a quick review of your notes for the next day.

When you're exposed to bright light before sleep your body receives a lot of stimuli. Then, when you wake up in the dark, your body still thinks it's nighttime making it harder to get out of bed. That's why it's so important to put electronic devices aside before going to sleep. There's also the option of using phone apps that reduce blue light. You can try this as well if completely avoiding your phone before bed seems unrealistic at first.

Another option, though somewhat risky, especially if you tend not to hear the alarm, is to set it for the latest possible time you need to wake up. That way you have no excuses and can't press the snooze button because snooze is not an option in this case!

Next tip – find a reason to get up. Think about what brings you joy and incorporate it into your morning routine.



Remember the excitement you felt before a school trip? We used to get up without any trouble then. Your morning routine may not be as exciting as a trip but it can still be something that boosts your endorphin levels. It could be a cup of matcha or coffee, maybe listening to a podcast episode while getting ready in the morning or enjoying a delicious breakfast. You can also write down a few things you want to accomplish in the morning.

A fascinating technique I've heard of is visualising your productive day just before going to bed. This involves imagining yourself waking up right after the first alarm and doing everything you've planned for the day. Envisioning your ideal day helps motivate you to follow through with your morning resolutions and beyond. First and foremost, remember to get enough sleep. Sometimes exhaustion hits us suddenly and it's worth taking a mini vacation to catch up on rest. Simply get as much sleep as you can, whenever possible.

The 54321 rule – I get up! This is a method I love and highly recommend. Whenever you have something to do but just can't bring yourself to do it, count down from 5 to 1 in your head, and by 1 start doing it. You just have to push yourself to take action. You can apply this to the morning too: 54321 – I get out of bed!

And the most pleasant tip – reward yourself for getting up without hitting snooze. It could be allowing yourself a small treat. You can reward yourself daily but to motivate yourself even more, the reward could be after 3 days of effort! For example, a coffee out in the city!

Savour your morning!

Write down words or expressions that are new to you and translate them. ■

.....

.....

.....

.....

.....

Ewelina Truszkowska

## Się (na)leży

Pewien mężczyzna miał iść w odwiedzinę, rozmowy z kumplem kierowan zamiarem.  
(...) Wchodzi spokojnie do jego meliny,  
a chłopak... se leży w ręku z browarem.

- Chłopie! Co robisz? - No leżę i piję.  
- Pójdź do roboty! - A na co mi praca?  
- Takiegom lenia nie widział jak żyje!  
Uwierz mi druhu, że to się opłaca.

Znajdujesz pracę, w niej potem się trudzisz,  
harujesz co dzień, bo grafik jest ciasny,  
a jak w swoim szefie sympatię wzbudzisz,  
dostajesz premię – i masz na wkład własny.

Jak masz na wkład własny, firmę zakładasz,  
a ludzie do ciebie w mig aplikują,  
pracują u ciebie – wtedy zarabiasz.  
Rozumiesz? Ludzie za ciebie pracują!

I wtedy, jak wszystko ci się układa,  
leżysz se... pijesz... i tak to się żyje!  
- A ziomek spokojnie mu odpowiada:  
- No przecież JUŻ sobie leżę i piję...

Miłosz Barańczuk

...

## W różanym ogrodzie

Myśli moje tutaj, w różanym ogrodzie,  
Suną ku Tobie, wbrew każdej przeszkodzie.  
Zbieram pąki, lśniące i jak krew czerwone,  
Palce i policzki mam lekko zarumienione.

Czekam na Ciebie, zbierając me róże.  
Patrzę na nie. Czy coś z nich wywrózę?  
Nagle myślę: O Boże! Co się stało?  
Moje serce z trwogą zadrżało.

Róża mi szepcze: Kocham Cię skrycie  
I wybac mi, proszę, moje nieobycie,  
Lecz ukrywać dłużej tego nie mam zamiaru,  
W miłości do Ciebie już brak mi umiaru!

Katarzyna Stańko

# Młoda dorosła – Szczęście

*Chciałabym, aby na twarzy każdego z was pojawił się uśmiech z powodu kawałka pizzy i żeby pokój każdego z was zdobiła róża od nieznanego z Barcelony.*

Żyjemy w czasach z nielimitowanym dostępem do wiedzy, w czasach, w których wszyscy chcą wiedzieć wszystko o wszystkich, o wszystkim. Poszukujemy wolności, jednocześnie sami się na nią zamykając. Chcemy odnaleźć szczęście w liczbach i tabelkach.

*Ostatni dzień wspólnego wyjazdu co roku spędzamy na plaży. Tym razem nie mogło być inaczej. Wprawdzie nie był to dzień, a środek nocy, ale z pewnością były to nasze ostatnie chwile w Barcelonie. Podziwiając zarówno morze, jak i niebo, dyskutowaliśmy o wszystkich przygodach, które tutaj przeżyliśmy.*

Coraz częściej spotykam się z przepisem na wszystko. Przepisem na zdrowe życie, na relacje, piękną cerę. Coraz rzadziej zdajemy się na intuicję. W ostatnim czasie polubiłam się z gotowaniem. Szukałam pomysłów na dania w książkach, e-bookach i instagramowych kontaktach. To, co przykuło moją uwagę to liczby. Zdecydowanie zbyt dużo liczb.

*Gdy zbliżała się pora odjazdu ostatniego autobusu na lotnisko, ruszyliśmy na spacer w kierunku przystanku. Ni stąd, ni zowąd zatrzymał się przed nami mężczyzna. W zasadzie uklęknął, i nie przed nami, tylko przede mną. Trzymał w dłoniach ogromny bukiet róż. Pomyślałam, że chce mi je sprzedać, a przechodnie, że się zaręczamy.*

Z reguły, kiedy myślimy o gotowaniu, jedyne liczby, jakie przychodzą nam do głowy to proporcje składników. Ale nie w XXI wieku. Dzisiaj poza proporcjami mamy także dokładnie wyliczone kalorie, tłuszcze, białka, węglowodany, a nawet to, ile powinniśmy się ruszać, żeby spalić to, co przed chwilą zjedliśmy.

*Kilkukrotnie powiedział, że to dla mnie, a ja kilkakrotnie pytałam, czy na pewno. Kiedy wyjaśniłam, że nie mogę wziąć wszystkich, bo spieszę się na samolot, powiedział, żebym wybrała jedną.*

Jest to fenomen, który obserwuję na znacznie szerszą skalę niż tylko gotowanie. Na popularności zyskały również pomiary ludzkich emocji. Co roku pojawia się ranking najszcześniejszych krajów świata. Próbuje się zmierzyć

szczęście w PKB, wysokości podatków, położeniu geograficznym czy diecie. Ale czy mieszkańcy Finlandii czy Szwecji na pewno mają takie same potrzeby i problemy jak mieszkańcy Nigerii? Czy zupełnie inna historia, ekonomia, kultura tych krajów powoduje, że niektórzy ludzie nigdy nie będą szczęśliwi?

*Kiedy ta jedna, najpiękniejsza róża była już w moich dłoniach, wstał i dał mi tak wielkiego buziaka w policzek, jakiego nie dała mi nigdy nawet babcia. Roześmiałam się i jeszcze raz podziękowałam za kwiat.*

Szukamy przepisów na idealne życie, a ludzie z nieidealnymi zyciami sprzedają nam gotowe rozwiązania oraz potwierdzające je badania. Analizujemy przeszłość i udajemy, że wyciągamy z niej wnioski na przyszłość. A gdyby skupić się na teraźniejszości?

*Róża towarzyszyła mi całą drogę do domu, najpierw podczas ostatniego spaceru w Barcelonie, później w samolocie. Przyjechała pociągami do Białegostoku, aż w końcu znalazła się w moim mieszkaniu.*

Ostatnio wszyscy zwracają mi uwagę, że wydaję się być nieco przygnębiona, nieobecna, jednocześnie ciesząc się z kawałka pizzy. Prawda jest taka, że miałam wspaniały rok i do tej pory nie mogę wyjść z podziwu, jak piękne może być życie w nie do końca pięknym świecie. Nie jestem ani przygnębiona, ani nieobecna. Jestem szczęśliwa.

*Ususzyłam ją i postawiłam w centralnym miejscu salonu. Codziennie, gdy szykuje się do wyjścia na uczelnię, patrzę na nią. Codziennie przypomina mi o jednych z najcudowniejszych wakacji mojego życia i codziennie, od samego rana, wprawia mnie w dobry nastrój.*

Sylvia Grzeszczak śpiewała: *Cieszymy się z małych rzeczy, bo wzór na szczęście w nich zapisany jest.* Chciałabym więc, aby na twarzy każdego z was pojawił się uśmiech z powodu kawałka pizzy i żeby pokój każdego z was zdobiła róża od nieznanego, niekoniecznie z Barcelony... ■

**Magdalena Ziemkiewicz**

# Nie pieprz, wieprzu

Lubię pieprzyć. Uwielbiam pieprzyć! Można nie lubić ostrości, ale samo pieprzenie trzeba uszanować. Ile wyśmienitych potraw wymyślono, w których na ostrości się zaczyna i kończy! Weźmy takie chili con carne: jedzenie tak proste, jak prosty może być jednogarnkowiec - gotowa do odgrzania, tłusta pomidorowa breja, z kawałkami smażonego mielonego mięsa. Nie do zjedzenia, jeżeli całości nie spina jej clou: świeża, ostra papryka, a w wersji bardziej leniwej pieprz cayenne. Wystarczy solidnie dopieprzyć i coś, co byłoby papką bez charakteru, nabiera kompletnie innej, bardziej wyrazistej duszy; na koniec długiego dnia wypełnia pusty żołądek, roznosi ciepłość do nawet najbardziej dystalnych części ciała i, co dla mnie najważniejsze, zostawia to przyjemnie piekące wrażenie na języku, które zostaje jeszcze na długo. Ciutkę boli, to prawda, ale na swój sposób oczyszcza głowę ze wszystkiego, co zdążyło w niej osiąść jak swędzący, kłopotliwy detrytus.

Jednym z najpiękniejszych aspektów pieprzenia jest to, że nie trzeba za każdym razem pieprzyć tym samym. Do klasyków kuchni polskiej najlepiej pasuje, oczywiście, stary, dobry i sprawdzony pieprz czarny (pamiętam, że za dzieciaka niezmielone jeszcze główki czarnego pieprzu lubiłem wkładać sobie do ust i rozgryzać jedna po drugiej; no, ale o moim opóźnieniu umysłowym kiedy indziej). Jeśli mamy ochotę na to, żeby zrobiło się trochę kwaśnie, to idealny będzie pieprz cytrynowy, wspinały z kurczakiem. Pieprz biały jest ciekawy, bo ma o wiele delikatniejszy smak - jeśli mamy akurat kaprys na subtelność. Jest też pieprz kolorowy, który tak naprawdę jest mieszaniną wielu różnych rodzajów pieprzu; najlepiej jest go zarezerwować na chwile, kiedy nie możemy się zdecydować, czym właściwie chcemy pieprzyć. Pieprzyć można naprawdę na wiele pięknych sposobów, ale każdemu pieprzącemu powinno zawsze towarzyszyć gdzieś z tyłu głowy jedno pytanie: biorąc pod uwagę okoliczności, czy warto tyle pieprzyć?

Pieprzę z przyjemnością tylko wtedy, kiedy inni tolerują moje pieprzenie, a przynajmniej nie mają

nie przeciwko. Na przykład moja mama nie lubi, kiedy jej się pieprzy bez opamiętania, ale brat - jak najbardziej. Jeżeli się rozkręcę, a nie stoi nade mną ręka sprawiedliwości, gotowa wymierzyć jeden głośny cios w przypadku przekroczenia przeze mnie granicy dobrego smaku, to momentami można odnieść wrażenie, że pieprzę bez przerwy. Największą frajdą jest sprawdzanie limitów tolerancji własnej i innych; ile można jeszcze tak pieprzyć, żeby nie było za ostro? Niejednokrotnie okazało się, że zaskakująco dużo. Niestety, z tą kuchenną zabawą jest tak, że raz na jakiś czas mimowolnie dopieprzy się za bardzo. Goście wychodzą i wtedy to ty zostajesz z garem leczy, którego sam nagotowałeś. Tak, garem bulgocącego, czerwonego jak szatański półdupek, bardzo ostrego leczy. I co wtedy? Nie ma innej rady, trzeba samemu łyżka po łyżce wszystko zjeść, bo przecież całego gara się nie wyrzuci. Na koniec tej kulinarnej pokuty dostajesz zasłużoną nagrodę: bolący język i własne milczenie.

Tutaj rzecz robi się zabawna. Kiedy siedzisz tak sam po zjedzeniu własnej niepotrzebnie ostrej potrawy, odczuwasz kompletnie inny smak, niż powinieneś: gorycz porażki. Zupełnie tak, jakby ktoś zrobił ci metafizycznego psikus; i co jednocześnie najlepsze i najgorsze, ten psikus istotnie wyszedł mu bardzo śmieszny. ■

**Knur w Kitlu**



# Żyjesz pierwszy raz

Nieodłącznym elementem naszego życia jest podejmowanie decyzji. Podejmowanie, wdrażanie, oczekiwanie na efekty i ponoszenie konsekwencji. Z pozoru zwyczajny ciąg przyczynowo skutkowy. Decyzje często określamy, chociaż według mnie zupełnie niepotrzebnie, jako na przykład dobre, słuszne, optymalne albo złe i bezsensowne. Skąd jednak mamy wiedzieć, jakie mogą być skutki naszego wyboru, dopóki go nie dokonamy? Który raz żyjemy?

Mam wrażenie, że nierzadko odbieramy sami sobie prawo do popełniania tak zwanych „błędów”. Nie lubię tak określać skutków decyzji, których efekty nas nie zadowolają, bo sugeruje to coś niewłaściwego. Minięcie się oczekiwań z rzeczywistością nie musi być niczym niewłaściwym, a zwyczajną prozą życia, kiedy nie wszystko idzie po naszej myśli, więc mierzymy się z różnymi trudnościami, bo przecież nie na wszystko mamy wpływ i nie jesteśmy władcami świata. Intensywnie skupiamy się na przypieciu jakiejś łatki niekoniecznie zadowolającym nas skutkom dokonanego wyboru, co powoduje, że tracimy kreatywność w procesie naprawy tego co nas nie satysfakcjonuje. Mówi się, że im dłużej człowiek żyje, tym więcej błędów popełnił, a więc sugeruje nierozzerwalność nietrafionych decyzji z ludzką egzystencją. Być może wraz z wiekiem wzrasta ich akceptacja. Być może wcale nie jesteśmy sumą naszych błędów i sukcesów. Może właśnie wcale nie określają nas efekty własnych poczynań.

Różne emocje towarzyszą porażkom, każdy może czuć je inaczej, ale bez wątpienia, emocje powinny mieć swoje miejsce i nie być wypierane. Niekiedy czujemy się gorsi od innych, słabsi, czujemy, że może nie zasłużyliśmy na sukces i zbyt mało poświęciliśmy, żeby dany cel osiągnąć, niekiedy czujemy również wstyd. Wszystko, co się wydarza, nie zawsze zgodnie z naszą wolą, do czegoś nas prowadzi. W jakiś sposób potrzebujemy nauczyć się funkcjonować pomimo wielu zawodów. Czujemy presję, by wiedzieć wszystko i umieć przewidywać, nawet to, czego przewidzieć się nie da, byleby uniknąć potknięcia. Jednocześnie przecież to nie z komfortowych dla nas sytuacji wynosimy najwięcej lekcji, lecz z potknięć. Małe dziecko zanim nauczy się chodzić, upada wielokrotnie. To nieuniknione. Podobnie jak w dorosłości.

Większość z nas nie została nauczona radzenia sobie z decyzjami, brania za nie odpowiedzialności i wychodzenia z opresji obronną ręką. Często mierzymy się z wielkimi oczekiwaniami otoczenia, że będziemy w każdej sytuacji niezawodni i nieomylni. Staramy się lawirować między najbardziej optymalnymi wyborami. Najwięcej uczymy się przez doświadczanie, jednocześnie żałujemy wielu swoich wyborów. A żyjemy dopiero pierwszy raz. ■

Julia Majewska

## Elizabeth Blackwell – Pionierka medycyny i emancypacji kobiet

Elizabeth Blackwell urodziła się 3 lutego 1821 roku w Bristolu w Anglii. Miała ośmioro rodzeństwa, wśród których wyróżnili się: Emily, która jako druga kobieta w Stanach Zjednoczonych uzyskała dyplom lekarza, Anna i Sarah Ellen, znane pisarki oraz bracia Samuel i Henry, aktywnie zaangażowani w reformy gospodarcze i społeczne w drugiej połowie XIX wieku.

W 1832 roku, po pożarze rafinerii cukru i utracie głównego źródła dochodu, rodzina Blackwellów wyemigrowała z Bristolu do Nowego Jorku. Tam ojciec Elizabeth, Samuel Blackwell, zaangażował się w działalność abolicjonistyczną. Swoje przekonania

przekazał dzieciom, które w późniejszych latach kierowały się nimi w wyborach życiowych. Samuel wierzył, że każde dziecko, niezależnie od płci, powinno mieć możliwość pełnego rozwijania swoich talentów i zdolności. Było to podejście niezwykle nowatorskie, zważywszy na fakt, że w ówczesnym społeczeństwie kobiety zazwyczaj ograniczano do roli gospodyń domowych lub nauczycielek. Kilka lat później rodzina Blackwellów przeniosła się do Cincinnati w stanie Ohio. W 1838 roku ich sytuacja finansowa uległa znacznemu pogorszeniu po śmierci Samuela Blackwella. W odpowiedzi na trudności ekonomiczne siostry Anna, Maria i Elizabeth założyły szkołę, która stała się głównym źródłem utrzymania rodziny. Jednak w 1842 roku, w wyniku konserwatywnych reakcji społeczności Cincinnati, placówka straciła wielu uczniów i musiała zostać zamknięta.

Przełomowy moment w życiu Elizabeth Blackwell nastąpił w 1839 roku za sprawą Williama Henry'ego Channinga – unitariańskiego duchownego, reformatora i filozofa. Dzięki jego wpływowi ponownie zainteresowała się edukacją i reformą oświaty. W latach 1840–1847 pracowała jako nauczycielka, starając się odłożyć 3000 dolarów,

niezbędne na pokrycie kosztów nauki w szkole medycznej. W 1847 roku Blackwell opuściła rodzinę i udała się do Filadelfii i Nowego Jorku z zamiarem rozpoczęcia studiów medycznych. Dążenie Elizabeth Blackwell do zdobycia wykształcenia medycznego okazało się niezwykle trudnym wyzwaniem. W tamtym okresie instytucje edukacyjne konsekwentnie odrzucały aplikacje kobiet, co wynikało z powszechnych uprzedzeń, dotyczących roli płci w zawodach naukowych i medycznych. Jej liczne próby podjęcia studiów medycznych kończyły się niepowodzeniem, aż w październiku 1847 roku otrzymała możliwość nauki w *Geneva Medical College* w stanie Nowy Jork. Proces rekrutacyjny był niecodzienny – decyzja o przyjęciu Blackwell została przekazana przez dziekana i kadrę uczelni pod głosowanie 150 studentów płci męskiej, z warunkiem, że sprzeciw choćby jednego z nich skutkowałby odrzuceniem kandydatury. Ku zaskoczeniu wszystkich, studenci jednogłośnie opowiedzieli się za jej przyjęciem. Większość z nich podchodziła do tego głosowania z ironicznym dystansem, traktując całą sytuację jako swego rodzaju żart. Podczas studiów Elizabeth wykazała się niezwykle determinacją i pracowitością. Mimo niechęci części asystentów oraz studentów, zdobyła uznanie władz uczelni. 23 stycznia 1849 roku, jako pierwsza kobieta w Stanach Zjednoczonych, uzyskała tytuł lekarza. Jej praca dyplomowa poświęcona była tyfusowi plamistemu, a w swoich badaniach powiązała zdrowie fizyczne ze stabilnością społeczno-moralną.

Po ukończeniu studiów postanowiła wyjechać do Europy, aby tam kontynuować naukę. Pomimo zdobytego w Stanach Zjednoczonych tytułu lekarza, wiele placówek medycznych odrzucało jej kandydaturę ze względu na jej płeć. W ramach kontynuacji nauki i praktyki lekarskiej, w czerwcu zapisała się do *La Maternité* – szpitala specjalizującego się w położnictwie – pod warunkiem, że będzie traktowana wyłącznie jako studentka położnictwa, a nie jako pełnoprawny lekarz. Decyzja ta była kompromisem w sytuacji, gdy tradycyjne struktury medyczne nie były gotowe przyjąć kobiety w roli lekarza.

4 listopada 1849 roku okazał się dniem, który przekreślił nadzieje Elizabeth Blackwell na zostanie chirurgiem. Podczas leczenia niemowlęcia chorego na zapalenie spojówek noworodków, przypadkowo wprowadziła do swojego oka zakażoną ciecz. W wyniku infekcji straciła wzrok w lewym oku i niezbędne było usunięcie oka. Po rekonwalescencji trwającej cały 1850 rok zapisała się na wykłady organizowane przez Jamesa Pageta. W 1851 roku powróciła do Nowego Jorku z nadzieją, że opór wobec kobiet w medycynie

w Stanach Zjednoczonych będzie mniejszy niż w Europie. Po powrocie do Nowego Jorku Elizabeth Blackwell opublikowała *The Laws of Life with Special Reference to the Physical Education of Girls* – pracę poświęconą fizycznemu i psychicznemu rozwojowi dziewcząt, w której poruszono kwestie przygotowania młodych kobiet do macierzyństwa.

W 1853 roku założyła przychodnię, w której kształciła pierwsze uczennice, m.in. Marię Zakrzewską – Polkę urodzoną w zaborze pruskim. Cztery lata później, przy wsparciu swojej siostry Emily – która jako druga kobieta w Stanach Zjednoczonych uzyskała tytuł lekarza – oraz Marii Zakrzewskiej, rozbudowała placówkę. Przychodnia stała się wówczas jednym z głównych miejsc, gdzie młode kobiety mogły odbywać praktyki lekarskie i pielęgniarские. Była mentorką m.in. Elizabeth Garrett Anderson i Sophie Jex-Blake. Liczba pacjentów systematycznie rosła, niemal co roku się podwajając, aż w 1866 roku osiągnęła 7 000 osób rocznie. W 1858 roku, dzięki uchwalonej przez parlament Zjednoczonego Królestwa ustawie regulującej kwalifikacje lekarzy i chirurgów, została pierwszą kobietą wpisaną do rejestru medycznego *General Medical Council*.



Zdjęcie pochodzi ze zbiorów National Library of Medicine, Stany Zjednoczone

Po przejściu na emeryturę z praktyki medycznej, Elizabeth Blackwell w latach 1880–1895 była szczególnie aktywna w ruchach reformatorskich. Skupiała się przede wszystkim na reformach moralnych, promowaniu czystości seksualnej, higieny oraz edukacji medycznej. Ponadto angażowała się w działania na rzecz medycyny prewencyjnej, poprawy warunków sanitarnych, eugeniki, planowania rodziny i praw kobiet. Była zagorzałą przeciwniczką antykoncepcji i metod Wilhelma Mensingi.

Działalność Elizabeth Blackwell miała dalekosiężne konsekwencje zarówno dla środowiska medycznego, jak i dla ruchu emancypacji kobiet. Dzięki swojej niezłomnej determinacji przełamała liczne bariery i stała się inspiracją dla kobiet pragnących rozwijać się w zawodach naukowych i medycznych. Jej osiągnięcia przyczyniły się do reform społecznych, które z czasem wpłynęły na zmianę tradycyjnych ról płciowych, zwłaszcza w Europie. Poprzez wprowadzenie nowych standardów kształcenia oraz poprzez własny przykład, Blackwell zainicjowała przemiany moralne i społeczne, otwierając drzwi dla przyszłych lekarek. Jej praca stała się fundamentem dla późniejszych działań na rzecz równouprawnienia. ■

**Mateusz Malinowski**

# Wentyl bezpieczeństwa

Grudzień i styczeń to była walka o przetrwanie. Zaliczenie jednego przedmiotu (standardowo, trudność odwrotnie proporcjonalna do ilości punktów ECTS). Zaliczenie bloku z interny (trudność wprost proporcjonalna do słuchania, że nic nie umiemy, czyli tak, było trudne). Do tego dołożymy trochę problemów rodzinnych, osobistych i niezdanie wyżej wymienionego zaliczenia z interny. Otrzymujemy nieprzyjemną mieszankę, którą można podsumować jednym zdaniem: mam dosyć wszystkiego.

Opowiadałam o tym przyjaciółce. Spytała mnie, czy jest coś, co może dać mi ulgę. Powiedziałam jej, że jest jedna taka rzecz – wyjazd w góry. Jedno miejsce, które pozwoli odpocząć mojej głowie i uspokoić myśli.

Kiedy dostałam termin zaliczenia poprawkowego, wiedziałam już, że mogę zaplanować wyjazd, co od razu zrobiłam. Uczylałam się naprawdę dużo (o wiele więcej niż na egzamin z radiologii, ale nikomu nie mówcie). Mimo powtarzania sobie, że dam radę i tłumaczenia sobie, że przecież na pewno to zaliczę czułam, że się stresuję. Nie pomagał komentarz prowadzącego na odchodne, że po zaliczeniu mam do niego przyjść, bo „ten papier nic nie znaczy”. Nie pomagało słyszane codziennie (i powtarzane cyklicznie, co 4 minuty podczas 180 minut zajęć), że nic nie umiemy. Że tę tak prostą rzecz nawet my byśmy zrozumiwały. Bo z jednej strony powtarzałam sobie, że przecież wiem, że nie jestem głupia. Ale po tym wszystkim zaczęło mnie dręczyć nieprzyjemne uczucie, że może jednak jestem za głupia na bycie lekarzem?

Zauważyłam też u siebie „ciekawą” paradoks. Z biegiem lat studiów, wcale nie czuję się bardziej pewna siebie, jest wręcz przeciwnie. Prowadzący zadaje pytanie, a ja na końcu języka mam odpowiedź. Jednak czuję wewnętrzny opór, żeby ją powiedzieć, bo boję się, że jeśli popełnię błąd, to zaraz usłyszę, jak mogłam powiedzieć coś tak głupiego. Dlatego nie mówię nic, mimo że wiem. Tak bardzo straciłam pewność siebie.

Wiedziałam, że moje ciało przeżywa to mocno, bo nie mogłam jeść, a kto mnie zna ten wie, że raczej nie mam z tym problemu. Aż w końcu nadszedł sądny dzień zaliczenia. Pisząc je, miałam nadzieję, że siedząca obok koleżanka nie widzi, jak trzęsie mi się ręka, kiedy przewracam kartkę. A dzień po dopadła mnie taka migrena, że pół dnia spędziłam w łóżku w ciemnym pokoju. I przestałam mieć siłę na cokolwiek. Jakby wyszło to ze mnie całą życiową energię. Zastanawiałam się, jak w takim stanie znajdę siłę na chodzenie po górach. Ale trudno, pokój zabukowany i opłacony, trzeba jechać. Pojechałam, a w międzyczasie dostałam informację, że zaliczone. Poczułam ulgę nie do opisania. Wsiadłam na peronie w Zakopanem, spojrzałam na majestatyczne góry, a one

spojrzały na mnie i odetchnęłam głęboko. Rześkim, chłodnym, górskim powietrzem i już wiedziałam – tego właśnie potrzebowałam.

Kolejnego dnia, wraz ze wschodzącym słońcem, ruszyliśmy na szlak. Wiecie w czym zakochałam się, chodząc po górach? Po pierwsze w tym, że to nie jest wyścig. Każdy idzie swoim tempem, oby bezpiecznie i do celu. Nikt nie ocenia, czy dana trasa zajmie Ci mniej czy więcej czasu, wypisanego na znaku. Po drugie, mogę być w pełni nieidealną sobą. Nie muszę się wybitnie malować. Nie muszę się przejmować, czy moje włosy są ułożone, czy wyglądam dobrze, czy może właśnie odklejam od pleców koszulkę mokrą od potu. Nie muszę się przejmować, czy może zjadłam za dużo czy za mało, bo ciało samo daje mi znać, kiedy potrzebuje zastrzyku energii, a ja po prostu się w nie wsłuchuję. Nie muszę zagłuszać trudnych myśli czy emocji głośną muzyką. Jedyne, co słyszę idąc to szum wiatru, śpiew ptaków i bicie własnego serca. Zrozumiałam też, że to nie szczyt jest celem. Jest nim droga, sama w sobie. A widok, który się z niego roztacza, wynagradza całe zmęczenie. Koi ciszą, onieśmiela potęgą, zachwyca pięknem. I nie jest dany raz na zawsze. Za każdym razem, żeby go doświadczyć, trzeba włożyć wysiłek. Stojąc na szczycie Gęsiej Szyi i rozkoszując się widokiem górskich grani, pokrytych śniegiem i muśniętych promieniami słońca pomyślałam, że nie mogę być szczęśliwsza. W tym momencie nie potrzebuję już po prostu niczego więcej. Czułam, jak schodzi ze mnie całe napięcie, nagromadzone przez te 2 miesiące. I wraca do mnie siła.

Kolejnego dnia, telefon. Dzwoni pani z UMB z pytaniem, czy może nie chciałabym opowiedzieć o tym, jak nasza Alma Mater daje możliwość rozwoju swoich pasji oraz jak połączyć je ze studiowaniem. Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że bardzo dziękuję, ale właśnie w ramach łączenia tych pasji, pozdrawiam serdecznie z Zakopanego. Przykro mi, nie dam rady. Jakaś część mnie żałowała, że nie może podzielić się swoim doświadczeniem w tworzeniu „Młodego Medyka”. Jednak druga część mnie wiedziała, że ten wyjazd był moim „wentylem bezpieczeństwa”. Piszę ten tekst i dzielę się z Wami swoimi doświadczeniami właśnie po to. Po pierwsze, abyście nie czuli się sami w swoich przeżyciach. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Wszyscy zmagamy się z poprawkami, niepowodzeniami, stresem i doświadczeniem swoich ograniczeń. Medycyna jest bardzo daleka od tych wszystkich poukładanych kolorami książek i dopasowanych stetoskopów na Instagramie. Och, jak bardzo daleka od sztucznych uśmiechów przyklejonych do twarzy studentów ubranych w ciuchy z bloku operacyjnego. Szkoda, że filtry tak dobrze ukryją nieprzespaną noc i podkrążone od chronicznego zmęczenia oczy. Szkoda,

że nikt (albo mało kto) odważy się powiedzieć prawdę, że tak, jest ciężko. Tak, mam czasem dosyć. Tak, czasem żałuję swojego wyboru, bo nie wiedziałam, ile będzie mnie kosztował. Ale ja Wam powiem. Pozwalam sobie czuć tę złość. Na prowadzących, na ich okropne komentarze, na te studia, na siebie, że nadal nie umiem. Emocje są jak ocean. Mają fazy przypływu i odpływu. I jeśli pozwolicie zachować im ten naturalny cykl, same przeminą.

Piszę ten tekst też po to, abyście pamiętali, jak ważne jest, aby mieć swój „wentyl bezpieczeństwa”. Miejsce, ludzi, którzy pozwolą Wam odpocząć i odebrać się od medycyny. Nieważne, że może pouczyć się mniej na zaliczenie czy egzamin i nie dostaniecie 5, a 3. Wasze zdrowie psychiczne, Wasz dobrostan

są warte więcej. A kiedy dacie sobie pozwolenie na odpoczynek, zobaczycie, że wróćcie do medycyny z nową energią. I miłością.

Życzę Wam, aby każdy z Was znalazł takie miejsce. Znalazł swój „wentyl bezpieczeństwa”. ■

**Róża Maria  
Huszczka**



## Ciężko, coraz ciężej...

### - podsumowanie pierwszego semestru na lekarskim

Gdy ktoś mnie pyta: „Jak tam studia?” (a możecie się tylko domyslać, ile razy słyszałam to pytanie w ciągu ostatnich miesięcy), jedyne, co mi się nasuwa na myśl, to „ciężko”. No cóż... nikt nie mówił, że będzie lekko.

Pierwsze emocje związane z początkiem studiów opadły, nadeszły krótkie, zimowe dni, a z nimi dziesiątki wejściówek, kolokwii i zaliczeń. Listopad i grudzień to był czas totalnego przemęczenia. Wydawało się, że gorzej być nie może, ale jak wiadomo - zawsze może. Po wyczekiwanej przerwie świątecznej nadeszła końcówka semestru i wtedy dopiero zaczęła się batalia. Nie do końca czuję nawet, jak to się stało, że pisząc ten tekst jestem w połowie lutego. Życie przez ostatnie tygodnie toczyło się rytmem ciągłych zaliczeń.

Okazało się, że studiowanie medycyny, przynajmniej w moim wypadku, wcale nie wygląda jak na Instagramie. Ktoś by powiedział „Wielkie mi zaskoczenie”. Niby nie, ale gdy człowiek zderza się z rzeczywistością osobiście, boli o wiele bardziej niż sama świadomość teoretyczna na temat tego, jak ta rzeczywistość wygląda. Czasami nawet zdarza mi się oskarżać samą siebie, że jestem kiepsko zorganizowana, bo nie zaczynam dnia o szóstej rano od koktajlu z jarmużu i powtórki anatomii. Czy tylko ja, gdy mam natłok nauki, ledwo zwlekam się z łóżka po zarwanej nocy, na mojej podłodze leży stos kartek, a na śniadanie jem... nic?

Wygląda to wszystko trochę przygnębiająco. Nie trudno popaść w marazm,

gdy na głowie tyle obowiązków, a poza nimi drugie tyle spraw niezwiązanych z uczelnią, ponieważ jak wiadomo, nie samymi studiami człowiek żyje. Jedyne rozwiązanie, jakie mi się nasuwa, by wyjść z tego cało, to przypominanie sobie, po co się robi to wszystko. Wiem, rada jak z krytykowanego wyżej Instagrama, ale z nią akurat w pełni się zgadzam. Nie tylko na pierwszym roku ma się trudne momenty i przedmioty, które wydają nam się, powiedzmy... niekoniecznie niezbędne. W takich chwilach trzeba sobie przypominać, jaki to przywilej, że studiujemy to, co kiedyś chcieliśmy, i dlaczego wybraliśmy takie, a nie inne studia. Mi osobiście zdarzyło się ostatnio zapłatać w czytelnicy do działu z książkami z mojej wymarzonej specjalizacji, więc mój poziom motywacji delikatnie się podniósł.

Czasami też tym, co trzyma nas przy życiu w natłoku nauki, jest jakieś hobby, dodatkowa aktywność. Warto mieć w beznadziejnym tygodniowym grafiku światełko w tunelu, na które oczekujemy z przyjemnością. Mimo że często każdy z nas żyje patrząc na zegarek, to warto posłuchać rady: „Jak nie masz czasu, to znajdź sobie dodatkowe zajęcie”. Polecam oczywiście dołączanie do organizacji studenckich, a do Młodego Medyka w pierwszej kolejności.

Jeśli doszedłeś do końca tak długiego artykułu, to zapewne już czas wziąć się za naukę - pół żartem, pół serio. Zanim jednak wrócisz do siedzenia z nosem w książkach, przypomnij sobie, że „marzenia się nie spełniają, marzenia się spełnia”. Powodzenia w nowym semestrze! ■

**Katarzyna Markowska**



# Kinowe podsumowanie stycznia

## „W pokoju obok” (Hiszpania, USA 2024 / 110’)

Najnowsze dzieło Pedro Almodóvara pozostawiło mnie w ogromnej rozsypce. Kupiłam bilet w ciemno, widząc jedynie kilka razy zwiastun oraz kil-



kanaście dosyć niepochlebnych opinii. Jednak to, co czekało na mnie w kinie, przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Zaczynając od niesamowitej scenografii, zawierającej barwne stroje, obłędnie kontrastujące z nadzwyczajną urodą utalentowanych Julianne Moore i Tildy Swinton, aż po niebywale widoki USA i Madrytu. Film porusza kwestię wyboru tego, jak chcemy, żeby wyglądało nasze życie, jego docenienia oraz procesu pogodzenia się z obecnością śmierci. Najpiękniejsze i najbardziej symboliczne w ocenie całego filmu były sceny ze spadającym śniegiem, który „pada nad zmarłymi i żywymi”. Jest to odniesienie do powieści „Dublińczycy” Jamesa Joyce’a, na podstawie której nakręcono „Zmarłych” (film, który zainspirował Pedro Almodóvara). Spokojnie opadające i osiadające płatki śniegu są epifanią nadchodzącej śmierci.

Zdjęcie pochodzi ze strony: <https://www.filmweb.pl/film/W-pokoju-obok-2024-10045112>

## „Babygirl” (USA, Holandia 2024 / 114’)

Najlepszą sceną całego filmu był moment spotkania Romy i bohatera granego przez Harrisa Dickinsona podczas imprezy. Przez chwilę naprawdę poczułam się jak w klubie – mimo natłoku nauki i stosu książek pozostawionych przeze mnie na biurku. Muzyka była cudowna, idealnie dopasowana do emocji przedstawianych na ekranie. Sam dobór obsady perfekcyjnie wpasował się w wymagania reżyserskie, cała trójka głównych aktorów poradziła sobie niesamowicie, bazując na swoim (już i tak ogromnym) doświadczeniu. Bajronicznym doświadczeniem było odwiedzenie kina i obejrzenie „Babygirl” samego, będąc otoczoną przez pary. Był to zaprawdę bunt przeciwko przyjętym wzorcom kulturowym i normom społecznym. Sam seans określię mia-



nem wysoce duchowego i astralnego przeżycia. Tuż po wyjściu z sali, skierowałam swoje kroki do sklepu spożywczego po paczkę ciastek i karton mleka, koniecznie bez laktozy.

Zdjęcie pochodzi ze strony: <https://www.filmweb.pl/film/Babygirl-2024-10044212>

## „Sztuka pięknego życia” (Wielka Brytania, Francja 2024 / 108’)

Zdjęcie pochodzi ze strony: <https://multikino.pl/filmy/sztuka-piekneho-zycia>



Z niecierpliwością oczekiwałam na ten film. Widząc połączenie Florence Pugh i Andrew Garfielda w dramacie romantycznym, nie mogłam zrobić

nic innego, jak dodać propozycję na moją listę „do obejrzenia”. Czasami będąc na pokazie w kinie, w duchu dziękujesz za to, że nikt Cię nie widzi. Czy to przemycasz jedzenie, czy też płaczesz, a może realizujesz jeszcze inne aktywności. Ja uroniłam kilka łez. „Sztuka pięknego życia” ukazuje wzruszającą historię miłości dwójki ludzi, mimo wielu przeciwności losu. Film dotknął mnie tak bardzo, że nawet nie mam pomysłu i miejsca na wtrącenie małego żarciku (*touché*). Po wyjściu z kina intensywnie analizowaliśmy kilka kwestii: ile było prób nagrania sceny porodu oraz jakim cudem Andrew Garfield tak dobrze wygląda w okularach (a jednak).

## „Dziewczyna z igłą” (Polska, Szwecja, Dania 2024 / 122’)

Zdjęcie pochodzi ze strony: <https://www.filmweb.pl/video/Zwiastun/Dziewczyna-z-igla-g%C5%82%C4%85-Zwiastun-nr-2+polski-70667>

Niesamowicie ucieszyłam się widząc nominację „Dziewczyna z igłą” do Oscarów w kategorii „Najlepszy film międzynarodowy”. Po takim filmie, wychodzisz z kina i jedyne, co możesz zrobić, to wziąć głęboki oddech i przyjąć pozę Martina Scorsese’ego – „absolute cinema”. Film niezwykle mocny, charakteru nadają dodatkowo czarno-białe kadry i fantastycznie dopasowana muzyka, która dodaje grozy i elementu niepokoju. Jestem pod wielkim wrażeniem gry aktorskiej całej obsady,



która wykonała niesamowitą pracę, odwzorowując ciężkie czasy po I wojnie światowej, kiedy problemem było utrzymanie pracy, miejsca do życia, a w dodatku zarobienia wystarczających pieniędzy, aby być w stanie jakkolwiek żyć. Co więcej, dramaturgii dodaje fakt, iż cała produkcja jest na bazie

faktów i prawdziwej historii Dunki, która była seryjną morderczynią dzieci. Film zdecydowanie pozostaje w pamięci i pozostawia po sobie ciężkie brzemie jeszcze przez długi czas.

## „Brutalista” (USA, Węgry, Wielka Brytania 2024 / 215’)

Zdjęcie pochodzi ze strony: <https://krytykapolityczna.pl/kultura/film/architektura-przetruwania-o-filmie-brutalista/>

Ostatnia propozycja ze wszystkich widzianych przeze mnie w styczniu. Choć czas trwania filmu może odstraszyć nawet najwytrwalszych, to jednak warto iść do kina. Na moim seansie praktycznie cała sala była pełna. Mimo niedawnych kontrowersji z użyciem AI w ekranizacji, cieszy się ona ogromną popularnością i zainteresowaniem. Bardzo ciekawym rozwiązaniem okazał się powrót do stosowania przerw i dzielenia produkcji na akty. W połowie projekcji nastąpiła 15-minutowa przerwa, podczas której można było wyjść z sali, rozprostować nogi oraz przeprowadzić ciekawe dyskusje z innymi oglądającymi na temat sztuki (prawie jak w „Stowarzyszeniu Umarłych



Poetów”). Mimo dosyć znacznego metrażu, reżyser płynnie lawiruje między wątkami, wprowadzając widza w zanik poczucia czasu. Zarówno Felicity Jones, jak i Adrien Brody zagrali niesamowicie. Jednak na mnie jeszcze większe wrażenie zrobił Guy Pearce. Już wiemy, do kogo trafi nagroda za najpiękniejszą scenę otwierającą film – Corbetowska uwertura

z cudowną muzyką, listem czytany w tle, a w tym wszystkim z Łászló widzącym Nowy Jork po raz pierwszy. A ujęcie na Statuę Wolności? *Chapeau bas*. I na koniec – piękny film dla entuzjasty betonu i wszelkich wyrobów betonowych (czyli dla mnie). ■

Aleksandra Renik